

sonia raduńska

kartki
z białego
zeszytu



Sonia Raduńska

psycholog, pisarka, felietonistka. Debiutowała w 1997 roku powieścią *Białe zeszyty* (W.A.B 2005). Felietony składające się na *Kartki z białego zeszytu* ukazywały się w „Zwierciadło” w latach 2000–2005.



SERIA Z MIOTŁĄ



Christine Angot

Kazirodztwo

Majgull Axelsson

Dom Augusty

Maryse Condé

Ja, Tituba, czarownica z Salem

Petra Hůlová

Czas Czerwonych Gór

Grażyna Jagielska

Fastryga

Alona Kimchi

Płacząca Zuzanna

Melania Mazzucco

Tak ukochana

Marsha Mehran

Zupa z granatów

Mian Mian

Cukiereczki

Jaclyn Moriarty

Mam łóżko z racuchów

Helen Oyeyemi

Mała Ikar

ZZ Packer

Pijąc kawę gdzie indziej

Halina Pawłowska

*Zdesperowane kobiety
postępują desperacko*

Grażyna Plebanek

Dziewczyny z Portofino

Przystupa

Pudełko ze szpilkami

Ena Lucía Portela

Sto butelek na ścianie

Sonia Raduńska

Białe zeszyty

Ahdaf Soueif

Mapa miłości

Oksana Zabuzko

Siostró, siostró

sonia raduńska

**kartki
z białego
zeszytu**

w
ydawnic
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

rok 2000

luty

Od kilku lat w górnej szufladzie mojego biurka leży biały zeszyt. Często wyjmuję go stamtąd i coś zapisuję. Co kilka miesięcy zapisany zeszyt odkładam na półkę, a do szuflady wkładam nowy. Z kilkunastu zeszytów powstała książka. Nadal piszę.

Mieszkam teraz sama ze zwierzętami i z dźwiękami domu. Zegar tyka – to dusza. Bez niego cisza staje się martwa, sieroca. Szumi czajnik, krople deszczu stukają o parapet.

Mały kotek wszedł na biurko, zaczepia łapką długopis. Rudy, rozczulający, stuknięty, o temperamencie szalonej małpki na przyspieszonym filmie. Z poziomu podłogi patrzy mi w oczy, gdy stoję. Przytula się, kiedy chce pospać. Głośno mruczy pod głaszczącą ręką, a za chwilę gryzie i drapie wszystko co na drodze, krwiożerczo, z dzikim wzrokiem.

Pies wygląda jak ojciec kotka, mają sierść takiego samego koloru. Pies jest stary. Brzydko mu

pachnie z pyska, mądre oczy mętnieją, ale wciąż radośnie ożywia się, gdy razem wychodzimy z domu. Kotek przepelniony jest energią. Kocica-olbrzymka, jego adopcyjna matka, a może bardziej ciotka, stacza z nim walki, myje mu grzbiet i pozwala przy sobie sypiać.

Teraz zwinęta w kłębek patrzy na mnie wnikliwie swoimi przezroczystymi ślepiami w kolorze winogron.

W książce *Wolność na wygnaniu* Dalajlama pisze: „Zauważyłem, że mnóstwo osób, mieszkających bardzo wygodnie w wielkich miastach Zachodu, żyje w całkowitej izolacji od innych ludzi. Uważam, że to bardzo dziwne, iż przy takim materialnym dobrobycie, mając za sąsiadów tysiące braci i sióstr, tak wiele osób zdaje się móc okazywać prawdziwe uczucia tylko swoim kotom i psom...”

Ja uważam, że bliska obecność zwierząt jest dobra, jeśli nie zamyka ludzkich oczu i serca na istotę życia.

Kupiłam przytulny koc do jogi. I płytę Toma Waitsa. Lubię Waitsa, jego głębokie pomruki nad flaszką albo nad kołyską wnuczki. On czasem śpiewa jak Mój On. Kontrabasista Charlie Haden też. Albo Stachura. Specjalny sposób śpiewania osoby, która nie jest śpiewakiem.

Rudy kotek w gąszczu roślin na parapecie. Trąca długopis – krzywe litery. Herbata mango – prezent od córki – zaparzona w bambusowym koszyczku,

pyszna. Na moim niebie za oknem chmurny pejzaż. Deszcz.

Mój dawny, nieżyjący już mistrz Carl Rogers, w wieku siedemdziesięciu pięciu lat, napisał: „Mam świadomość, że jestem stary. Wewnętrznie jednak nadal jestem tą samą osobą, ani starą ani młodą. (...) Wewnętrznie nadal jestem nieśmiałym chłopcem, który pisał listy miłosne o wiele sprawniej, niż wyznawał miłość. Pisanie jest moim sposobem porozumiewania się ze światem. To jakby przesłanie, które wkładam do butelki i rzucam w morze. Ku mojemu zdumieniu na licznych plażach psychologicznych ludzie znajdują te butelki i odkrywają te przesłania dla siebie”.

Pisanie jest potrzebne również po to, żeby utrzymać mózg w stanie zdolności do koncentracji i myślenia. Mózg, od którego się nie wymaga, któremu się pobłąża, rozleniwia się i sennie zamyka. Chętnie godzi się z brakiem wymagań i zanurza w bezpiecznych wodach płodowych senności, półśmierci. Moja Nauczycielka powiedziała kiedyś: „Jeśli usłyszysz gdzieś łagodne dźwięki kołysanki i poczujesz się w pełni bezpiecznie – uciekaj z tego miejsca co sił w nogach!” A tak łatwo właśnie temu zaufać, zwinąć się w kłębek i trwać. Zasnąć. Nie żyć. Uwaga!

I znów mały kot. Jego żywość, ciekawość, wszędobylskość. Przerwa w pisaniu, bo siadło mu się akurat na tej stronie zeszytu. Chwilę wcześniej było się na desce ze szczypiorkiem, a potem stoczyło się rundę walki z kocicą. Wydaje się, że nigdy nie nastąpi opamiętanie, ale gdy zacznym medytować,

zwierzątko układa się na podłodze pomiędzy moimi kolanami i zasypia. Kiedy wstaję z poduszki, Ono jest już wypoczęte i gotowe do kolejnego szaleństwa. Do żywego życia.

marzec

Tańczyłam, wirowałam w kolorowej sukience, w czapeczce z karbowanej bibułki i wielkich żółtych koralach. Tańczyłam z cudzymi mężczyznami. Zbierałam komplementy. Kręciłam się jak piórko na wodzie. Przyjemnie bolał mnie nogi. Ukryłam mój smutek pod wirującą sukienką.

Tęsknota za tańcem jest we mnie stale żywa. Tęsknota za pełnym puszczeniem siebie. Za radosnym zestrojeniem. Harmonijny taniec z mężczyzną jest jak gorący romans. I jak podniebny lot ptaka. Dla mnie bardziej nawet erotyczny niż sam seks. (Mężczyzna do Kobiety podczas tańca: – Chciałbym kochać się z tobą... Kobieta do Mężczyzny: – Ja właśnie teraz się z tobą Kocham...). W takim tańcu nie mam głowy ani granic ciała, ani myślenia, ani odrębnych zmysłów. Tancerz, muzyka i ja jesteśmy jednym.

Kiedy myślę o tańcu, kiedy taniec po mnie sięga – czuję szybsze bicie serca. Przypomina mi się tango Niewidomego, którego grał Al Pacino, jego taniec z młodą kobietą na pustym parkiecie, w filmie *Zapach kobiety*. Jest to we mnie na zawsze.

Szczególnym tańcem jest flamenco. Paco de Lucia – znawca tematu – powiedział: „Flamenco to nie tylko dźwięki, to jest pewna filozofia życia, kultura,

sposób myślenia, inna skala wartości, więc jeśli nie masz w sobie tych wszystkich elementów, nie możesz naprawdę rozumieć flamenco”. Ja nie rozumiem flamenco w ogóle. Nic z tego nie pojmuję. Nic mi się w nim właściwie nie podoba w sensie „moje ja to wybiera”. Ani melodia, ani wygląd tancerzy, ani ten głos i rodzaj śpiewu, ani uroda i mimika artystów.

Flamenco jest dla mnie nieprzewidywalne. Nie wiem, dlaczego każdy tam klaszcze po swojemu, a tworzy się z tego harmonia. Kiedy spodziewam się jakiegoś ruchu w tańcu, następuje zatrzymanie, i odwrotnie. Grymasy twarzy wydają się nie pasować do gestów i rytmu. Czuję się zupełnie zakręcona, zdezorientowana. I wtedy logiczna głowa odpada, a do flamenco wchodzi moje ciało: mięśnie, brzuch, serce, oczy, usta. Pełne podłączenie. Przeżycie flamenco. Bycie flamenco. To, co mnie zachwyca w tańcu andaluzyjskim, to ten minimalny, ale naładowany najwyższą wibracją kontakt tancerzy ze sobą.

Oni się dotykają rytmem, oczami i wyzwalanym przez ruch zapachem ciał, potu. W obrocie męczyzna dotyka pleców kobiety opuszką środkowego palca lewej dłoni. To wszystko. To więcej niż bogata w szczególności scena erotyczna w filmie.

Flamenco jest wtedy, kiedy patrzymy na siebie nawzajem najgłębszym spojrzeniem, w którym widać duszę – tylko patrzymy. Albo myślimy o sobie jednocześnie. Albo jedno z nas telefonuje, kiedy drugie na to czeka. Sytuacja „o krok od”, „a przecież tak niewiele brakowało”. Sytuacja dochodzenia do granicy, ale nieprzekraczanie jej. Flamenco.

Czasem potrzebuję zatańczyć, ale nie mam z kim. A wszystko we mnie już bardzo tańca chce. Wtedy obnażam stopy, żeby były bose, nastawiam muzykę i poddaję się. Pozwalam muzyce poruszać moim ciałem. Nie wtrącam się w to. Czuję, jak powoli z tego dreptania, kołysania, obracania wokół własnej osi, rodzi się taniec. Ciało rozluźnia się, otwiera, nabiera swobody i zwinności, wpuszcza w siebie Boga i pozwala Mu tańczyć mną Jego taniec. Choć widzę w cieniu na ścianie, jakie to harmonijne i ładne, to chyba nie odważyłabym się tak zatańczyć przed innymi; czułabym się naga. Może przed kimś, kto kocha...

Tańczę z wszechświatem obejmującym mnie ramionami dobrego mężczyzny, który się nie popisuje, nie depcze po palcach, mocno i wrażliwie prowadzi, nie cuchnąc przy tym wódką ani papierosami. Tańczę z potrzeby tańca i dla własnej radości tańczenia.

Chcę nie żałować na to czasu.

kwiecień

Jestem. Siedzę i mięknię. Odpoczywam po długim dniu przy okrągłym stole w kuchni. W kącie leży pies, unosi raz prawą, raz lewą brew, spogląda na mnie. Kotek-hydraulik siedzi w zlewozmywaku i trzyma wartę przy rozmrażającym się indyku. W niedzielę przyjdzie na obiad Jacek, dam mu do domu kawałek pieczonego mięsa. Tyka zegar. Parzy się herbata. Cicho, dobrze.

O.N.A. śpiewa: „Ja nie czuję, że nie żyję”. Słyszę to wyraźnie i zauważam różnicę: Ja czuję, że obumarłam. I z tego „czuję” czerpię jakąś otuchę, bo skoro TO czuję, to znaczy, że nie tylko obumarłam, ale i żyję. Dwie tendencje we mnie.

Jedna, której napęd czy ster umieszczony jest chyba bardziej na zewnątrz: trzymać się, próbować wspiać się jak po gładkim słupie, chociaż centymetr, nie obsunąć się, nie poddać. Nie pozwolić sobie na starzenie czy choćby przejściowy okres starości. Trzeba być damą dobrze utrzymaną, świetnie funkcjonującą osobą, której się zawsze chce. Brać hormony, miesiaćzkować, walczyć z psychicznymi dołkami. Podobać się. Wzbudzać zainteresowanie mężczyzn, umawiać się na randki. Nosić kobiece pantofle i dekolt, podkreślać talię. Farbować włosy. Wychodzić w karnawale i świetnie się bawić.

Tendencja druga, której jakoś chyba bardziej ufam: puścić ten słup! Zwolnić napięte mięśnie i opaść miękko. Przyjąć klimakterium. Zgodzić się na to, że sił ubywa, i pozwolić sobie czegoś nie musieć. Pozwolić ciału regulować poziom hormonów. Doświadczać bolesnej studni w okolicy serca i depresji, która dopada zwłaszcza w soboty i niedziele. Ubrać się czasem w miękki, bury sweter z golfem, który tak dobrze osłania przed światem, choć tak bardzo mi w nim nie do twarzy. Zostawić skórę bez makijażu. Gapić się w okna dobrego Boga, śledząc lot ptaka. Poddać się sile ciężenia, obsunąć się, zwiędnąć i opaść łagodnie w dół jak wypuszczony z dłoni sznurek.

Dostałam dziś wyciąg z banku za ostatni miesiąc. Okazało się, że Paweł oddał cały dług, co do grosza. Wielka ulga. Jak dobrze, że to już poza nami. Poza mną. Poza nim. Jakby otworzyły się bramy więzienia. Mogę znów, już bez przeszkód, pożywiać się tym, co było dobre między nim i mną, uśmiechać się do wspomnień, a nawet spotkać go na ulicy.

Dziękuję Ci, Boże i – Ty wiesz – nie jest to tylko podziękowanie za pieniądze, chociaż bardzo mi się one przydadzą. Trzeba opłacić szkołę Noemi, Jackowi kupić kurtkę. Sobie sprawię coś jasnego do ubrania. I pojedę latem na wyspy greckie, jak sobie wymarzyłam.

Trudno mi się zgodzić na bycie drzewem wiecznie zielonym, na udawanie, że wciąż umiem być *cool*. Chociaż, cholera, nadal we mnie siedzi kawał pry-muski, która mnie prawdziwą zamyka w ciemnym pokoju i nie pozwala się ludziom na oczy pokazać.

Nie jest łatwo, ale jest prawdopodobne, że po obumarciu nastąpi naturalne obudzenie, i wtedy, w rzeczywistej zgodzie ze sobą, będę się mogła wyprostować, wyprężyć i bez wewnętrznego konfliktu iść w górę i do przodu. I uśmiechać się całą sobą, i poruszać z nieudawaną gracją, i wyglądać ślicznie nawet w burym swetrze z golfem.

maj

Umarł Dziadek Antoni. Następny bliski grób na naszym cmentarzu. Tatuś jest już tam od ponad sześciu lat. Krzysztof od siedmiu, Mama prawie od

dziewięciu. Ale każde z nich jakoś żyje. Ostatnio dowiedziałam się, że czarne zamszowe szpilki mojej Mamy tańczą każdego sylwestra na nogach Agaty.

Wanda jest przerażona. Niewinny dotąd aniołek przeistoczył się w oczach matki w zalążek potwora, bo jej niespełna sześciolatka córeczka zamęczyła trzy rybki, wyjmując je z akwarium, oglądając pod lampą, wałkując w rączkach, nakrywając szklanką. I co będzie dalej?! Wanda traci grunt pod nogami.

Zabrania małej zbliżać się do akwarium. Boi się, że nie będzie umiała w pełni, absolutnie, tak jak sobie wymarzyła, ufać swojej córce, że nie będzie umiała jej kochać takiej nieidealnej. Siedzi nas wokół Wandy dwanaście. Pytam: „Czy ktoś tu ma do siebie absolutne zaufanie?” Podnoszą się dwie ręce. Reszta albo nie wie, albo już wie, że to niemożliwe, bo zdarza się, że życie nas zaskoczy, a potem my zaskakujemy siebie same.

Mąż Karoliny mówi o naszej babskiej grupie: „kółko” („idź na swoje kółko, to ci dobrze zrobi”). Mnie się ona kojarzy z wiejskim darcim pierza i amerykańskim zwyczajem szycia weselnej kołdry z kawałków szmatek przez kobiety bliskie pannie młodej.

Opowiadałyśmy sobie o naszych grzechach dzieciństwa. Niektóre wcześniej (w głębokiej podstawówce) popalały i piły alkohol. Kradłyśmy owoce z drzew sąsiadów. Kłamałyśmy, wagarowałyśmy, randkowałyśmy dużo wcześniej, niż rodzice przy-

puszczali. Jedna zabrała pieniądze z ręki żebraka! Ja, w pierwszej klasie, ukradłam liczydło Rysiowi M. On strasznie ryczał, pani zrobiła rewizję, kazała dzieciom wstać, a liczydło było pod moją pupą. Pani nie zrobiła afery, tylko coś mi powiedziała krótko na stronie i szybko wróciła do prowadzenia lekcji. Ja potem nosiłam jej każdą znalezioną w kącie zapyziałą gumkę myszkę, a ona głośno chwaliła mnie za uczciwość. Teraz zastanawiam się czasem, czy kradnę, kiedy zrywam kwiaty – zawsze po zewnętrznej stronie płotu – spacerując latem z psem po ogrodach działkowych.

Wczoraj joga po miesięcznej przerwie. Wszystko boli. Siedząc rano na łóżku, wkładam rajstopy. Patrę na niebo za oknem. Czuję każdy mięsień w nogach. Jednym uchem słucham porannej audycji w Trójce i raptem słyszę wyraźnie, jak kobieta śpiewa: „Nauczyłam się szanować swoją samotność”.

Jestem umówiona na tańczoną randkę z mężczyzną, którego jeszcze nigdy nie widziałam. Trochę się wstydzę. Trochę obawiam. Ale cieszę się też.

czerwiec

Zapisałam się do biura matrymonialnego, chcę przerwać swoją samotność. Biuro oddalone jest o czterysta kilometrów od miejsca, w którym mieszkam; czy to nie ciekawy wybór? W moim mieście

takich biur jest kilka. I gazetowe, dyskretne, łatwo dostępne *Anonse*. Wybrałam inaczej.

Już dwukrotnie otrzymałam biuletyn z ofertami panów w odpowiednim wieku. Do kilku napisałam liściki. Odebrałam telefony od dwóch miłych mężczyzn. Jeden z nich miał tuzin rzeczywistych zalet. Powiedział w dodatku, że w naszych ankietach on i ja wypadliśmy niemal jak bliźnięta jednojajowe – tak podobnych wyborów dokonujemy.

Miły pan był gotów przyjechać na kilka dni, żebyśmy się mogli poznać. Wzięłam od niego numer telefonu i – nic. Przez cały miesiąc nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego momentu na spotkanie ani gotowości do odzwonienia do niego, ot tak, dla podtrzymania kontaktu...

Drugi pan, deklarujący, że pasjonuje się tańcem, zadzwonił krótko przed sylwestrem, a ja – wzdychająca z tęsknoty za tańczeniem – zaproponowałam mu, żeby zadzwonił w styczniu.

Co jest grane? Co ja robię?

Mogę to skwitować powiedzeniem: „chciałabym, a boję się”, ale to niewiele tłumaczy. Mogę dążyć dalej: czego ja chcę?

Czasem chcę niewiele: móc zadzwonić do niego przed snem i usłyszeć coś przyjemnego i czułego. Pójść z nim na długi spacer brzegiem morza, ramię przy ramieniu. Rozmawiać. Ugotować coś wspólnie. Cieszyć się, że on jest i cieszy się z tego, że ja jestem. Czasem jednak bardzo tęsknię za bliską obecnością mężczyzny. Za kimś, kto byłby mój, mój bez wątplenia. Za kimś, z kim dzieliłabym łóżko i stół, smutek i radość. Za krzątaniem się razem po domu i za

jedzeniem we dwoje. Za wspieraniem się nawzajem. Za tym, żeby ktoś mój znów przyjechał po mnie, gdy kończę pracę późno wieczorem, żeby zawiózł mnie, jak dziecko, do domu, zrobił herbaty, pościelił łóżko, nakrył kołdrą, potrzywał za rękę i pocałował na dobranoc. Za prawdziwym tańcem i seksem z mężczyzną, którego pragnę i który pragnie mnie. Za łagodnym współbyciem i żeby było do kogo wracać...

Czego się boję? Że spotkam jakiegoś oszusta, psychopatę, złego człowieka. Albo że będzie chciał ode mnie czegoś, czego nie chcę mu dać, a ja nie zdołam tego ochronić. Że będzie kolejnym mężczyzną, przy którym zdradzę siebie; przestanę siebie słyszeć i czuć. Że nie będę umiała być przy nim swobodna. Że nie będę mogła pracować, pisać, czytać. Że będę zmuszona być żoną w tradycyjny sposób. Że ktoś będzie wymagał, żebym zawsze „wyglądała” i zdołała go oraz żebym gotowała. Ja nie chcę.

Podeszłam do półki z płytami i wybrałam jedną, dotykając ją palcem, z zamkniętymi oczami. To była *Muzyka fruwej ryby* grupy Osjan. Nie sposób przy tym ustać w miejscu, więc płaszałam wśród przyglądających się temu kotów, obok psa, który – czując zabawę – na przemian szczekał i radośnie tarzał się na grzbiecie z łapami w górze.

lipiec

Uwielbiam to: niespieszny poranek, sama w domu. Po medytacji i śniadaniu wchodzę do mojego pokoju pachnącego kadzidłem, siadam przy biurku, wydaję zeszyt i mam perspektywę bycia w tym przez dwie godziny.

Byłam na randce z mężczyzną, wcześniej znanym tylko z rozmów telefonicznych. Błążej spóźnił się i już prawie odchodziłam. Nie mógł trafić na umówione miejsce. Dlaczego nie wyjechał wcześniej? Miał puste ręce. Był w płaszczu. Ma długie włosy w brązowym kolorze, co sugeruje farbowanie, a przecież siwe włosy mężczyzny budzą tkliwość. Nie rozglądał się po wyjściu z samochodu, tylko zmierzał prosto do mnie, chociaż stałam daleko. Powiedział zwyczajnie: – Witaj, witaj, Soniu. – Jakby mówił to setny raz, jakby wczoraj i przedwczoraj było tak samo, a ja pomyślałam sobie: „Ojej, jaki on stary”, a przecież ma raptem kilka lat więcej niż ja, i przypomniało mi się, jak Mirabelle w *Spóźnionych kochankach* odzyskała wzrok po kilkudziesięciu latach ślepoty i zobaczyła swojego, dużo od siebie młodszego, ukochanego, i zareagowała podobnie: „*Mon Dieu*, jakiś ty stary! Starszy od mojego ojca!”

Oglądamy razem World Press Photo i rysunki Mrożka, potem jemy pyszne kluchy we włoskiej restauracji. Podczas jazdy samochodem on wysiada czasem na krótko, żeby załatwić jakąś swoją sprawę. Przeprasza mnie za to i za brudny samochód; to nie kokieteria, rzeczywiście podłoga jest usłana śmieciami...

Bezceremonialnie łapie mnie za nogę, a ja nie umiem mu tego zabronić; nie lubię tego. Ale też miękko podaje mi ramię i lekko dotyka moich palców, a to jest przyjemne. Gdy przez chwilę zostaję sama w samochodzie, uświadamiam sobie swój wewnętrzny stan niebycia, typowy, gdy jestem przy jakimś mężczyźnie. I tylko wtedy. Nie ma mnie. Nie myślę, nie odczuwam potrzeb, nie mam zdania. Kryształki mojego ja rozpuszczają się jak cukier w gorącej herbacie i jest już wyłącznie herbata.

Błażej łączy w sobie bezceremonialność i jakąś delikatność. Wczoraj proponował pół żartem, żebyśmy pojechali do niego się kochać, a równocześnie martwił się, że na sobotę umówiłam się z nieznanym (!) na – aż! – tańce, zamiast tylko na kawę.

Z jednej strony miałabym ochotę na seks bez ceregieli, a z drugiej tak bardzo bym się chciała najpierw zakochać, a z trzeciej – to się samo ułoży...

Prześwitują przez Błażeja różni mężczyźni, a nawet chłopcy, których spotkałam w swoim życiu. I nie wiadomo skąd przypląwa zdanie: „Przez całe życie kocha się jednego mężczyznę”.

Kot pożera liście prymulki. Sałaty nie chce.

Tęsknię. Nie wiem, za czym dokładnie. Rozpoznaję w sobie tęsknotę, po prostu.

Adresuję tę tęsknotę do P. Wstydzę się, że tęsknię. Próbuję zaakceptować tę tęsknotę i ten wstyd.

Dlaczego mężczyźni prawie nigdy nie przynoszą mi kwiatów?

Dlaczego pozwalają sobie spóźniać się na spotkanie ze mną?

Dlaczego podczas randki załatwiają jakieś swoje sprawy?

Jak ja to robię, że jestem kobietą, którą można tak traktować?

Czy kiedyś stanę się kryształkiem nierozpuszczalnym?

* * *

„Kobiety są tchórzami, ponieważ zbyt długo były niewolnicami. Nadal niewiele jest kobiet, które gotowe są bronić tego, co naprawdę czują, myślą i doznają, kochając mężczyznę” – napisała Erica Jong w *Strachu przed pięćdziesiątką*.

sierpień

W ostatnim czasie kilka niezbyt udanych randek. Rozczarowanie, które pozwalam sobie przeżyć. Można by się załamać i pograżyć w rozpacz, a ja mam się dobrze – mocno i pogodnie.

Siadam rano, żeby pomedytować, a po głowie wędrują myśli o mężczyźnie, którego wciąż nie ma w moim życiu.

Medytuję w swoim zwykłym miejscu, ze słońcem na twarzy i na mostku. Jakby tam leżała dłoń Boga, ogrzewała serce i pokazywała: tylko To – ciepłe, miękkie serce – ma znaczenie.

Kończąc, biorę do ręki książkę de Mello: *Sadhana. Ścieżka do Pana Boga*.

Pozwalam jej się otworzyć. Pozwalam oczom popatrzeć tam, gdzie spojrzą. Czytam: „Najwyższy Pan objawia się tylko tym, którzy Mu ufają”.

Przymykam oczy. Pytam:

– Co mam robić?

Odpowiedź już tam jest, w tym rozgrzanym miejscu we mnie.

– Zwyczajnie żyj. Wysyłaj swoją ofertę do rubryki „Poznajmy się”. Niech ją czytają ci, którzy szukają. Patrz dookoła i bądź spokojna. Twój Mężczyzna przyjdzie, jeśli właśnie tego naprawdę potrzebujesz. Morze lśni w słońcu.

Szukam mężczyzny o szerokich horyzontach i niepospolitym wnętrzu, który nie przesypia życia, ani nie topi go w nałogach, który chce je dzielić i mnożyć z niebanalną kobietą, dojrzałą jak wrzesniowe jabłko. Chcę spotkać tego, który wypatruje za mną oczy i nasłuchuje, czy w ciemności nie zabrzmiały moje kroki. Będącego w drodze, afirmującego życie, przy którym nie trzeba udawać mniejszej i głępszej, żeby go nie urazić.

Wczoraj usłyszałam Czesława Niemena, który – nawiązując do piosenki *Dziwny jest ten świat* – powiedział, że teraz świat jest dla niego przede wszystkim Zachwycający.

Niemen ma sześćdziesiąt jeden lat. Widać i słychać, że jest mężczyzną w najlepszych latach, w harmonii ze sobą i ze wszystkim, co istnieje.

Do pana, znacznie młodszego, z którym byłam wczoraj na tańcach, mógłby mówić: „panie starszy” albo „dziadku”.

Cieszę się, że go kochałam i uczyłam się od niego.

Dzwonię do Danusi, która leczy rany po rozstaniu z ukochanym. To już dwa miesiące. Tyle różnych trudnych uczuć i pragnień. Dziś – pogodny spokój. Danusia mówi, że zaczyna czerpać przyjemność z bycia z samą sobą. Już nie czuje obezwładniającej potrzeby zatelefonowania do niego. Oprócz żalu, tęsknoty, krzywdy i buntu zaczyna czuć dobrą złość, pozwalającą jej pomyśleć: dupek!

Opowiadał jej, jak kiedyś, w czasie gdy nasze drogi już się rozchodziły, podszedł do mnie w klubie jazzowym Paweł i spytał:

– Z kim jesteś ?

– Z nikim – odpowiedziałam. A po chwili:

– Nie! Jestem ZE SOBĄ.

Te słowa wyrwały się z głębi moich trzewi i rozpoczęły nowy rozdział w moim życiu.

wrzesień

Lato wyzwala ze skorupy szczelnie zamkniętego mieszkania. Otwierając szeroko drzwi balkonowe, wpuszczam odgłosy świata, łagodne wieczorem. Słyszę to samo, co inni ludzie przez swoje otwarte okna: ptaki, dalekiego psa i szum portu. Wrażenie bycia ze światem bliżej, pełniej.

Lato wielkich, słodkich czereśni i bursztynów, które dostałam w prezencie od moich bliskich. „Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam!” Przyjmując życze-

nia i upominki, jedząc i pijąc pyszności, śpiewając przy ogniu i zaśmiewając się do łez wśród leśnych sosen, świętowałam swoje połowinki.

Danusia podarowała mi błękitną sukieneczkę w motylki, bardzo mini. Trzeba kochać swoją pół-wieczną przyjaciółkę i widzieć ją bezkrytycznymi oczami serca, żeby zrobić taki prezent.

Dobrze się czuję w swojej skórze: radosna, miękka i napełniona wszelkim dobrem jak miodna pszczoła.

We wtorki lub środy wpadam do empiku albo do innego kiosku, w którym można przeglądać prasę. Biorę do ręki „Przekrój” i czytam – przeważnie w oczarowaniu – *Listy między Niebem a Ziemią* Jana Nowickiego. Niedawno był list o Małgosi sprzed pięćdziesięciu lat, której dziewczęcy – niezmienny – ślad w powietrzu mijanej miejscowości spotkał pan Jan w swej tegorocznej podróży.

Ślady osób, które przeszły przez moje życie.

Materialne ślady Pawła pochowałam, ale kilka dni temu zachciało mi się zajrzeć do szklanego pudełka z ususzonym grudniowym białym bzem, na którym leży drewniany pierścionek od niego. Mam też kasetę, na której on czyta tekst medytacji z bólem, z książki Stephena Levine’a *Kto umiera*. Nie słucham tego. Posłucham, jeśli kiedyś będzie mocno bolało.

Nie zabiegam o tworzenie i pozostawianie moich śladów, ale to się dzieje. Modlę się o to, żeby moje ślady, skoro są, były dobre dla świata.